

Szwejk w obozach

Angel Wagenstein
**Pięcioksiąg Izaaka. Opowieść o żywocie
Izaaka Jakuba Blumenfelda,
który przeżył dwie wojny światowe,
trzy obozy koncentracyjne
i był obywatelem pięciu ojczyzn**
przekład: Kamelia Mincheva-Gospodarek
Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2009

Wydanie wspiera
CzasKultury



Pierwszą książkę Angela Wagensteina, bułgarskiego pisarza i filmowca urodzonego w 1922 roku, z którą ma szansę zapoznać się polski czytelnik, czyta się świetnie. Napisana żywym stylem, z wyrazistym, sympatycznym bohaterem, rozległym (czasowo i przestrzennie) światem przedstawionym, interesującymi postaciami drugoplanowymi, zgrabnymi dialogami – jest przede wszystkim kapitalną kompozycją tak w mini-, jak i w makroskali. Wagenstein ma niezwykle wycucie suspensu, puenty – a także słabość (czy raczej talent) do paraleli. Opiera się na nich cała powieść, w której każda księga kończy się domknięciem pewnego etapu życia głównego bohatera, a zarazem przełomem historycznym, ale także poszczególne epizody dziejów Izaaka znajdują kontrastujące lub zgodne odbicie w przytaczanych anegdotach, dzięki czemu zostają wpisane we wzorzec zachowań i sytuacji uwarunkowanych kulturowo. Opowieść o tragicznych nierzadko wydarzeniach zyskuje dzięki temu zestawieniu na ironicznej, gorzkiej wymowie.

Żydowskie facecje, znane chociażby ze zbiorów Horacego Safrina, w dużej mierze stanowią o przyjemności lektury. Opowieści o sprytnym, choć niezbyt rozcarniętym Żydzie i mądrym rebe, który udziela nie zawsze oczywistych odpowiedzi na absurdalne pytania, okazują się żywą Torą, do której Izaak odwołuje się w decydujących chwilach swojego życia jak do tarczy obronnej, źródła odwagi i dobrego samopoczucia. Narrator i zarazem główny bohater przyjmuje rolę owego naiwnego, ale pragnącego zrozumieć Żyda, odpowiada na swoje pytania szukającego w facecjach lub u szwagra-rabina, który stanowi odpowiednik postaci z anegdot. Zamiast jednak wyczytać lub usłyszeć mądrość, która przeprowadzi go bezpiecznie przez wszystkie zwątpienia i niedole, otrzymuje jedynie zdania świadczące o nieistnieniu uniwersalnego ładu, bezsensie ludzkich starań, płonności marzeń, bezskuteczności usiłowań, a przede wszystkim – o gorzkiej ironii, absurdzie losu. Innymi słowy, powieść Wagensteina fabularyzuje i roz-

wija (żywo, wartko, zabawnie) słowa Eklezjasty *vanitas vanitatum et omnia vanitas*.

Ta fikcyjna powieść posługuje się dwoma chwytami uwierzytelniającymi narrację. Monolog wypowiedziany wsparty jest gwarancją prawdziwości z przedmowy (autorstwa bezimiennego przyjaciela Izaaka i słuchacza jego opowieści), informującej, niczym XVIII-wieczne powieści epistolograficzne, że Oprócz tytułu tego, za czepieniem dzieła – ponieważ nie jest ono niczym więcej, aniżeli rzetelnym zapisem cudzych wspomnień i osądów – nie podałem nic od siebie, dlatego, że jakakolwiek moja ingerencja w narrację byłaby jak wlanie litra octu do beki dobrego wina, a każde podatkowe upiększenie jak szczypta zakwasu i soli, które jedynie mogą zbeczczyć świętość paschalnego chleba. Wiarygodność opowieści okazuje się więc szalenie istotna. Nic w tym jednak dziwnego, jeśli życie żydowskiego protagonisty przypadło na XX wiek w Europie Wschodniej i ma (jak sugeruje tytuł: *Żywot*) charakter paradygmatyczny. Wraz z tą świadomością wychodzi na jaw także cała dwuznaczność przyjemności lektury tej powieści.

Wagenstein podjął się zadania ważnego i odważnego – postanowił pokazać, że historia Żydów w XX wieku nie ogranicza się do Szoah: przedtem były sztetle, Austro-Węgry, I wojna światowa, narodziny państwa polskiego, okupacja radziecka – potem wyzwolenie i obozy sowieckie. Projekt ambitny, jednak (i tu pojawia się zarzut) Wagenstein, by go urzeczywistnić, używa klisz kulturowych. Kołodziec Izaaka jest uroczy i stereotypowy: maleńkie miasteczko pod Drohobyczem, z nieodłącznym pracowitym krawcem (dobry, choć oschły ojciec narratora), przedsiębiorczym, ale wiecznie bankrutującym handlarzem (wuj o złotym sercu), rabinem spajającym religijną wspólnotę (szwagier protagonisty), nie zbrakło także pięknej i skromnej Sary,

którą Izaak w końcu poślubi, a także zdobywającego zwolenników wśród małomiasteczkowych Żydów socjalizmu.

Dopiero największe nawałnice dziejowe, którymi wbrew słowom narratora nie są „wieloryby” I i II wojny światowej, ale totalitaryzmy faszystowski i sowiecki, zmienią coś w tym obrazkowym sztetlu. To bowiem świat zadziwiająco przedtem harmonijny i hermetyczny: wzmianka, że Kołodziec nie był jednolity etnicznie i wyznaniowo (oprócz Żydów żyli tam Polacy, Ukraińcy, prawosławni i katolicy), nic nie zmienia. Jedynym znakiem wzajemnej obcości pozostaje niepisany nakaz poślubiania tylko „swoich”, a antysemityzm, o ile się pojawia, to w oskarżeniach księży o zabicie Jezusa przez Żydów. Ten bardzo uproszczony i idylliczny obraz Europy Wschodniej sprawia, że Holocaust wydaje się kataklizmem całkowicie nie z tego świata.

Przedstawienie komunizmu i nazizmu także budzi zdziwienie. Ten pierwszy jawi się jako prawdziwy zły duch XX wieku: magnetyczna siła, przyciągająca idealistycznie myślące jednostki, ale i najgłupszych siepaczy, stanowi przerażającą maszynę terroru, czego doświadcza zarówno Izaak (skazany na zesłanie za faszyzm), jak i rabin Bendawid – nie dość poprawny w swych komunistycznych przekonaniach. Jakkolwiek skrótowa i wybiórcza to charakterystyka, komunizm budzi grozę swą okrutną bezmyślnością i absurdalnością. Wizja komunizmu jako połączenia uwodzicielskiej mocy i brutalności, nadziei i zagrożenia (która pojawia się też u Dichtera) może wynikać z osobistych przeżyć Wagensteina, który mieszkając w Bułgarii, doświadczał sprzeczności systemu socjalistycznego.

Na tym tle nazizm prezentuje się przynajmniej zastanawiająco; jako zbrodnicza ideologia zdecydowanie ustępuje też pola sowieckiemu komunizmowi. W zasadzie żaden Niemiec nie popiera +

już to samego faszyzmu (uciekinieryzy niemieccy w latach 30. osiedlają się w Kołodźcu), już to nieludzkich metod Hitlera (zaciekły, antysemicki prześladowca Izaaka z czasów służby w wojsku austro-węgierskim, spotkawszy go w obozie, daje mu jedzenie) lub obu: Joe, który dzielił Żydów na zdolnych do pracy i przeznaczonych do natychmiastowej eksterminacji, ucieka do aliantów i w szpitalu polowym leczy naszego bohatera. Może Wagenstein starał się uniknąć stereotypu złego Niemca, może wierzy w z gruntu dobrą naturę człowieka, może jego osobiste doświadczenia każą tak postrzegać historię pierwszej połowy XX wieku, ale po lekturze „Pięcioksięgu Izaaka” – choć sarkazm może wydawać się nie na miejscu – aż dziw, że Hitler miał masowe poparcie, a Holocaust pochłonął tyle ofiar.

Do sposobu przedstawienia Zagłady sprowadza się w zasadzie główny problem związany z „Pięcioksięgiem Izaaka”. Wybrana przez Wagensteina konwencja buffo, niepoważna, czasem absurdalna, obowiązuje w całej powieści: tyle samo smutku, strachu – i anegdot – wywołuje opowieść o służbie w armii austro-węgierskiej (z finałowym biegiem z opuszczonymi spodniami), co wywożenie taczkami trupów Żydów zmarłych na tyfus w obozie koncentracyjnym. Choć kwestia stosowności formy jest kwestią zależną od indywidualnej wrażliwości, trudno uznać, by przytoczone dwa zdarzenia były równoważne. Problemem nie jest więc sama tonacja, ale jej niezróżnicowanie, które sprawia, że pobyt w obozie koncentracyjnym przemienia się w jeszcze jeden niewyróżniający się epizod eposu żydowskiego Szwejka.

Poruszane zagadnienie sposobu opowiadania o Szoah dotyka problemu adekwatności konwencji komediowej i ironicznej dla tego wydarzenia. O kilka lat wcześniejsze głośne komedie o Holocauście „Życie jest piękne” (1997) Roberta Benigniego i „Pociąg życia” Radu Micheaileanusa

(1998) wzbudziły wiele dyskusji, w tym głosy oburzenia – zarzucano im odsyłanie do znaków dyskursu o Holocauście zamiast do samego Szoah, tworzenie kompensacyjnej, pocieszycielskiej i zastępczej narracji o Zagładzie, jej uniwersalizacji. Pomimo tych zarzutów trzeba jednak przyznać, że Micheaileanus po całej szaleńczej i pełnej nadziei podróży pokazał druty obozu (i na tym skończył), Benigni spuścił swój film pełnym braku porozumienia dialogiem między ocalałym Giosuém i jego osmaloną (mówiąc językiem Irit Amiel) matką. Wagenstein pokazuje coś odwrotnego: obozy koncentracyjne niczego nie kończą i niewiele zmieniają – w opowieści, jej języku, życiu bohatera. Obaj reżyserzy eksperymentowali, poszukując języka do opowiedzenia Zagłady – Wagenstein odnalazł konwencję do opowiedzenia żydowskiego losu w ogóle, co sprawia, że Holocaust jest tylko jego niczym nie wyróżniającą się częścią.

Jeden z nielicznych momentów, gdy Izaak na chwilę poważnieje (w obozie pracy), nie prowadzi jednak do niczego dobrego. Owocuje wieszczym snem, w którym ukazuje mu się rabin Bendawid i, niczym rezoner autora, poucza na temat nielegalnego radioodbiornika w obozie pracy: Ta skrzyneczka na narzędzia jest przezwyciężeniem strachu, protestem przeciwko niewolniczej rezygnacji, sprzeciwieniem się pokusom konformizmu. Ci aresztowani, a także ów niemiecki maszynista, czyż nie są oni słowcom wiary, że światło nie na zawsze zgasło i że są mężczyźni w Europie jeszcze nie wymarli? Faktem jest, że już lepiej od tego patetycznego i pretensjonalnego fragmentu brzmi którakolwiek anegdota.

Ambitny projekt Wagensteina pokazania w panoramiczny sposób dziejów Żydów z Europy Wschodniej w pierwszej połowie XX wieku prowadzi nieuchronnie do neutralizacji Holocaustu. Z perspektywy fabuły „Pięcioksięgu Izaaka” okazuje się on tylko jeszcze jedną niezbyt wesołą,

choć znoszoną z pogodą i spokojem przygodą Izaaka. W planie historycznym wpisuje się w model prześladowań Żydów, o czym mowa *explicite*: od czasów Nabuchodonozora, gnębiiciela Żydów, aż do naszych dni nic się szczególnie nie zmieniło. Wagenstein nie poświęca jednak większej uwagi czy głębszej refleksji antysemityzmowi, stwierdzając jedynie sentencjonalnie: Gdyby Żóg miał u siebie okna, to już dawno by w nich szyby potłuczono.

„Pięcioksiąg Izaaka” mierzy się tym samym z wieloma zarzutami, jakie padały pod adresem literatury o Shoah i niestety nie wychodzi z tej próby zwycięsko. Perspektywa ograniczona tylko do świadomości Izaaka owocuje zadziwiającą wizją nazizmu, która, gdyby Wagenstein potraktował nazizm równie podejrzliwie jako komunizm, zbliżona byłaby zapewne do Littelowskiej (choć bardziej groteskowa). Wybrana konwencja wespół z konstrukcją fabuły prowadzi natomiast do wpisania Zagłady w bieg historii w całkowicie harmonijny i logiczny sposób, tak jakby nie istniały żadne trudności w mówieniu o Holocauście – tak jakby był on zwyczajnym zdarzeniem.

Magdalena Bednarek

Projekt „Świetlicki”

Marcin Świetlicki
Niskie pobudki
Wydawnictwo EMG
Kraków 2009

Nawiązując do anonsu zamieszczonego na okładce nowego tomiku Marcina Świetlickiego, w którym pojawia się ostrzeżenie, że Lektura „Niskich pobudek” będzie [...] zaskoczeniem dla czytelników jego poezji. Czasem będzie to zaskoczenie miłe, a czasem niemiłe, chciałabym potwierdzić: zastrzeżenie to jest w pełni uzasadnione.

Tom ten rozpada się na dwie części: na wiersze, które zaskakują mile i na te, które zaskakują niemiłe. Na ten podział nałożyć można inny, niepokrywający się z pierwszym: na wiersze pisane z niskich pobudek – doraźne, interwencyjne, zaangażowane, mimo deklaracji niezaangażowania, i te, w których tytułowe niskie pobudki nabierają znaczenia metaforycznego – odsyłają do sytuacji lirycznego bohatera, odnoszą się do przypadków z jego życia. A mówiąc wprost – do tego, że nieraz przydarzały mu się pobudki na podłodze. Pierwszy wymiar odsłania także intertekstualne uwikłanie tych wierszy, +